Staropolskie kuligi i szlichtady

Teresa Fabijańska-Żurawska

Były te zabawy nie tylko w stolicy, lecz po całym kraju naszym od niepamiętnych zapewne przed Sobieskim, czasów. Trwały pokąd jeszcze błogie za Stanisława Augusta służyły chwile. Tak więc u przywódcy swojego zbierała się młodzież, przesadzając się na kształtny zaprzęg, saneczki, dobrze ubranych ludzi. Muzyka była na zawołaniu. Ruszano w dom najpierwszy, gdzie dużo było dziewcząt, albo je sproszono z powinszowaniem świąt szczęśliwych. Zmrokiem przyjechać kazał obyczaj, przy świetle kagańców i pochodni, lśniły się brylantami okolice całe i lasy nastrzępione śniegiem lub srebrem oblane, skrzypiały przemykając się lekko sanice, odzywał się z dala tętent koni, jak gdyby szwadron jazdy był w pełnym pochodzie; brzęk dzwonków różnogłośnych i kółek nawieszanych, odgłos muzyki, w takt odzywające się trzaskania biczem zręcznych powozicieli, okrzyki wesołych już się dawały słyszeć, gdy tylko co na wieś wjeżdżali; tak z powiększającym się

coraz szumem i hukiem w otwartą wpadano bramę i zajeżdżano przed mieszkanie gospodarza. Wychodził ku swym gościom, witał uprzejmie, wprowadzał, gdzie czekała żona i dziewice już do tańca postrojone. Po wstępnych grzecznościach i pozdrowieniach, ożywiała się coraz bardziej rozmowa, częstowano ochoczo i ludziom i koniom rad był gospodarz i miejsca obmyślił. Zaczynały się tańce. Doczekano się tym sposobem na gwałt przyrządzonej, obfitej wieczerzy, po której znowu następowały pląsy, śpiewy do białego dnia nieraz, spoczynek utrudzonych nareszcie bez wytworności przyjęty, gdzie i jak można było.

Tak opisywał staropolskie zabawy karnawałowe, zwane u nas kuligami, wielki historyk obyczajów polskich – Łukasz Gołębiowski (1773-1849) w swej książce „Gry i zabawy różnych stanów" wyd. w Warszawie w 1831 r.

Kulig na starej rycinie.

Kulig na starej rycinie.

Kulig taki, coraz to liczniejszych mający uczestników, wędrował od dworu do dworu popasając, bawiąc się i goszcząc nieraz i po kilka dni. Była to okazja do odwiedzin familijnych, do poznania się młodych i do wielu radości, popisów uciech i psot. Nade wszystko była to okazja do błyśnięcia dowcipem i dobrym pomysłem na saneczki, które musiały być niezwykłe. Rzeźbiono więc sanie w kształcie niedźwiedzia, jelenia, konia koguta, łabędzia, lwa, muszli i fantastycznych stworów. Nieraz były to całe kompozycje wielofiguralne, głowy murzynka na rufie albo ptaka rajskiego, papugi, węża itp. Nawet w największym tłoku każdy łatwo rozpoznawał swoje sanie. Po leśnych, wąskich drogach pędziły zaprzęgi jednokonne. Zazwyczaj dama siedziała w saniach opatulona baranicą i kapłonim zarękawkiem (mufką z piór kogucich), a mężczyzna powoził z tylnego koziołka. Obejmując damę serca chronił ją swymi ramionami, szepcząc czułe słówka prosto do ucha.

Sznur saneczek mknął raźnie i szybko. Towarzyszyła saniom młodzież na koniach z pochodniami w ręku, rozświetlając ciemności i płosząc liczną, leśną zwierzynę.

Innego rodzaju zabawą karnawałową były szlichtady, które organizowano na dworach panujących możnych. Te odbywały się zwykle w pobliżu rezydencji królewskiej lub na placach i ulicach dużych miast. Był to spektakl z udziałem

licznych widzów, mieszkańców miast, rodzaj teatru na wolnym powietrzu. Na oczach gapiów przesuwał się cały korowód wymyślnie rzeźbionych i złoconych saneczek, bardzo bogato zdobionych malowidełkami, na których widoczne były sceny z życia dworu, mityczne boginie, amorki, krajobrazy. Specjalnie dobierani młodzi chłopcy, zwani biegunami, nadawali tempo jednokonnym zaprzęgom. Przebrani w stroje dworskie, często dworu hiszpańskiego, wyglądali teatralnie w swoich pluderkach, białych pończochach, obcisłych żakiecikach i czapeczkach z piórami strusimi. W ręku trzymali baty – knuty do popędzania koni. Szlichtada nie była jedynie przejażdżką saniami. Był to rodzaj konkursu na najpiękniejsze sanie, na najwspanialszego konia i uprząż, która do tak ozdobnych sań też musiała być odpowiednio bogata, haftowana srebrem i złotem, naszywana małymi, kulistymi dzwoneczkami, które dawały piękną gamę dźwięków. Konkurs polegał również na zręczności w powożeniu. Stawiano np. manekiny i trzeba było tak blisko podjechać, by tego słomianego luda dźwignąć specjalną, krótką lancą trzymaną przez damę. Była to zręczność niemała, toteż dla zwycięzców przygotowywano nagrody. Zabawy te popularne były w XVII i XVIII w. również w Polsce, czego dowodem są zachowane do dzisiaj przepiękne okazy saneczek. W Muzeum Czartoryskich w Krakowie np. eksponowane są sanki szlichtadowe z rzeźbą bogini Diany na łowach, a bogini ta ubrana jest w strój polskiej szlachcianki. W pałacu w Nieborowie można zobaczyć kilka różnorodnych saneczek, a jedne szczególnie cieszą oko widza wizerunkiem głowy pijaka. W Powozowni Zamkowej w Łańcucie stoją sanie w kształcie hipokamposa, pół konia, pół ryby ze złotą łuską.

Kulig na starej rycinie.

Kulig na starej rycinie.

Do 1944 roku w Paradnej Szorowni w Łańcucie stały przepiękne złote saneczki, w kształcie muszli, z której wyrastało bóstwo morskie – grubiutki, mały Tryton, grający

na rogu-muszli. Płozy, wsporniki i tył saneczek był rzeźbiony w ornamenty z gałązek i girland. Saneczki te uważano za własność królowej Francji, Marii Antoniny. Do Łańcuta przyjechały z Paryża, jako część spadku po Mikołaju Potockim z linii tulczyńskiej, który umierając bezpotomnie w 1921 roku, zapisał majątek swojemu krewnemu, Alfredowi hr Potockiemu. Jako cenny obiekt, Mikołaj hr Potocki użyczył ich na światową wystawę środków transportu w Paryżu, która miała miejsce w 1900 roku. W Łańcucie również zajmowały honorowe miejsce i były podziwiane przez gości rezydencji łańcuckiej: koronowane głowy Europy, arystokrację, dyplomatów, osobistości i rodzinę. Wywiezione w 1944 roku, do dzisiaj się nie odnalazły.

Z końcem XVIII wieku znikły szlichtady dworskie, ale zwyczaj kuligów niższych warstw społecznych, a szczególnie w Polsce lubiany i kultywowany, utrzymał się bardzo długo. Nawet i teraz jeszcze czasem organizuje się te zimowe zabawy w śnieżną, mroźną zimę. Oczywiście nie mają one charakteru masowego i są ograniczone do przejażdżki po zaśnieżonym terenie wiejskim. Obyczaje te wspominamy dzisiaj z pewną nostalgią.

Kulig, rys. Wrzesław Żurawski.